

Yu Hua



# CHINY

W DZIESIĘCIU  
SŁOWACH

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright edycja elektroniczna



DIALOG



Yu Hua  
...  
CHINY  
W DZIESIĘCIU  
SŁOWACH

Przekład  
Katarzyna Sarek

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

Wydawnictwo Akademickie

DIALOG 

Warszawa 2013

Tytuł oryginału: 十个词汇里的中国

Redakcja: Aldona Mikusińska

Projekt okładki: Barbara Ćwik

Autor rysunku *The Leader* na okładce: Crazy Crab

Copyright © by Yu Hua 2011

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Akademickie DIALOG, 2013

Wydanie elektroniczne Warszawa 2013

Wydawnictwo Akademickie DIALOG

00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./faks: 22 620 87 03

e-mail: [editions@dialog.edu.com.pl](mailto:editions@dialog.edu.com.pl)

<http://www.wydawnictwodialog.pl>

ISBN 978-83-63778-51-4



Wydawnictwo Dialog(e) Copyright edycja elektroniczna

Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: [kontakt@elib.pl](mailto:kontakt@elib.pl)

[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)

# Chiny w dziesięciu słowach

## Spis treści

Okładka	
Karta tytułowa	
Karta redakcyjna	
Przedmowa	
人民	Lud
领袖	Przywódca
阅读	Czytanie
写作	Pisanie
鲁迅	Lu Xun
差距	Różnice
革命	Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna Rewolucja
草根	Niziny społeczne
山寨	Podróbki
忽悠	Bujanie
O wydawnictwie	

# Przedmowa

W 1978 roku dostałem pierwszą pracę – zostałem dentystą w małym mieście na południu Chin. Jako najmłodszy z pracowników szpitala poza wrywaniem zębów miałem również inne obowiązki. Każdego lata w słomianym kapeluszu i z apteczką na plecach chodziłem do miejskich fabryk i przedszkoli, szczepiąc robotników i dzieci.

W czasach Mao Chiny, mimo iż biedne, stworzyły sprawny system publicznej służby zdrowia i zapewniały bezpłatne szczepionki i szczepienia. Tu właśnie zaczynała się moja praca. Nie było jeszcze jednorazowych igieł i strzykawek, przez braki w wyposażeniu musieliśmy wielokrotnie korzystać z używanych. Metoda sterylizacji także była prymitywna – po umyciu owijało się je pojedynczo w gazę i układało w aluminiowych pojemnikach obiadowych, które wkładano do wielkiego kotła. Wlewano wodę, stawiano gar na węglowym piecu, igły i strzykawki parzyły się przez dwie godziny, w ten sam sposób jak bułki mantou gotowane na parze.

Ponieważ igły były wielokrotnie używane, na końcu prawie każdej z nich sterczał zadziór. Przy wbijaniu igła wchodziła w miarę lekko, ale przy wyciąganiu wrywała kawałeczek ciała. Pierwszy dzień pracy wypadł w fabryce, robotnicy podwinęli rękawy i stanęli w kolejce. Jeden za drugim podstawiali ramiona i zostawiali czerwone strzępki na igle. Robotnicy byli w stanie znieść ból, zagryzali zęby, co najwyżej ktoś jęknął jeden czy dwa razy. Nie zwracałem na to uwagi, bo po pierwsze wszystkie igły miały zadziory, po drugie wcześniej było tak samo – robotnicy co roku dostawali szczepionki i powinni być przyzwyczajeni. Kiedy drugiego dnia znalazłem się w przedszkolu, gdzie szczepiłem dzieci w wieku od trzech do sześciu lat, sytuacja wyglądała zupełnie inaczej – każde dziecko wrzeszczało i płakało. Ponieważ miały delikatną skórę, igły wrywały im większe kawałki ciała niż robotnikom, leciało także o wiele więcej krwi. Do tej pory dźwięczy mi w uszach ten dziecięcy płacz i pamiętam, że maluchy będące jeszcze przed zastrzykiem, płakały nawet głośniej niż te już po nim. Miałem wrażenie, że dzieci widząc na własne oczy cierpienie innych, przeżywały je mocniej od własnego bólu, ponieważ gorszy niż samo ukłucie był strach przed nim.

Byłem wstrząśnięty i zszokowany. Po powrocie do szpitala nie zabrałem się od razu do mycia i odkażania sprzętu, ale najpierw znalazłem osełkę i zabrałem się za ostrzenie igieł i usuwanie zadziorów. Używane od wielu lat igły były już mocno wyrobione, dlatego po dwóch, trzech zastrzykach znów pojawiały się na nich zadziory, a ostrzenie i prostowanie igieł, które z biegiem czasu stawały się coraz krótsze, stało się częścią mojej pracy. Tamtego lata codziennie wracałem do domu po zmierzchu z białymi rękami i palcami w pęcherzach po długich godzinach spędzonych przy osełce.

Później przez lata, gdy przypomiinałem sobie ten epizod, gryzło mnie poczucie winy, że musiałem usłyszeć wybuch dziecięcego płaczu, żeby zdać sobie sprawę z bólu, jaki znosili robotnicy. Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Gdybym przed kluciem innych zrobił zastrzyk sobie i wyrwał krwawiący kawałek własnego ciała, wiedziałbym, jeszcze przed usłyszeniem jęków robotników i płaczu dzieci, jak bardzo jest to bolesne.

Wyrzuty sumienia wciąż tkwią w głębi mojej duszy i towarzyszą mi jako pisarzowi od wielu lat. Dopiero gdy cierpienie innych stało się moim cierpieniem, pojąłem czym naprawdę jest życie i czym jest pisanie. Uważam, że nic na tym świecie nie jest w stanie umożliwić takiego wzajemnego zrozumienia jak ból, ponieważ cierpienie wychodzi z głębi serca. Kiedy w tej książce opisywałem cierpienie Chin, pisałem także o własnym, bo cierpienie Chin jest także moim cierpieniem.

\* \* \* \* \*

„I jako strzała co trafi do celu, nim uspokoi się drżąca cięciwa”<sup>[1]</sup> – napisał niegdyś Dante i pokazał nam tempo wydarzeń, odwracając kolejność skutku i przyczyny. W ciągu trzydziestu lat zapierających dech w piersiach zmian możemy odnaleźć podobny model rozwoju, w którym skutek wyprzedza przyczynę. Praktycznie każdego dnia stykamy się z mnóstwem konsekwencji, ale bardzo rzadko szukamy ich źródeł. Dlatego konflikty i problemy społeczne, które rozpleniły się jak chwasty w ciągu ostatnich trzech dekad, zostały przysłonięte zadowoleniem wywołanym szybkim rozwojem ekonomicznym. Moim zadaniem będzie odwrócenie standardowej kolejności – zacznę od wspiania wyglądających efektów, aby odkryć ich, być może niepokojące, przyczyny.

„Trwamy dzięki przeciwnościom, giniemy w spokoju i wygodzie” – tak brzmią słowa chińskiego filozofa Mencjusza, który sięgnął po przykład sześciu postaci z zamierzchłych czasów, które wiele przecierpiały zanim w końcu im się powiodło. Człowiek musi popełniać błędy, a w nieustannym ich poprawianiu tkwi istota postępu ludzkości. Według Mencjusza przeciwności losu podnoszą naszą odporność, a wygoda i spokój przyspieszają nasz kres, czy to chodzi o jednostki, czy o narody. Kiedy opisuję na tych stronicach moje osobiste cierpienia i cierpienia Chin, robię to z tym samym przekonaniem, że przeciwności nas wzmacniają. Dlatego w tej podróży do źródeł nie uda mi się nie natrafić na jedno nieszczęście za drugim.

Gdybym chciał opisać każdy aspekt współczesnych Chin, moja książka nie miałaby końca i przerosłaby *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*. Dlatego ograniczyłem się do dziesięciu słów, ale nawet ta skromna liczba wyposażyla mnie w dziesięć par oczu do oglądania Chin z dziesięciu różnych perspektyw.

Postanowiłem, że będę pisał krótko, zwięźle i że zacznę moją narracyjną podróż od opisu codziennego życia, które doskonale znamy. Może się ono wydawać trywialne i pospolite, ale w rzeczywistości zawiera w sobie wszystkie aspekty, które wzbogacają, poszerzają i pobudzają ludzki umysł. Polityka, historia, gospodarka, społeczeństwo, kultura, wspomnienia, uczucia, pragnienia i tajemnice – to wszystko możemy znaleźć w naszej codziennej egzystencji. Codziennosc przypomina rozległą puszcę, celne chińskie przysłowie mówi, że „w rozległym lesie można znaleźć wszystkie gatunki ptaków”.

Dla mnie, podobnie jak dla kierowcy autobusu jeżdżącego jedną trasą, pierwszy przystanek jest zarazem końcowym. Mój pełen opowieści autobus wyrusza z codziennego życia, zatrzymuje się, gdy przejeżdża przez politykę, historię, gospodarkę, społeczeństwo, kulturę czy wspomnienia, uczucia, pragnienia i tajemnice, a czasem przystaje również w nieoznaczonych miejscach. Niektóre historie wysiadają w trakcie podróży, dosiadają się inne i w końcu, po całym tym ruchu i zamieszaniu, mój autobus powraca do punktu wyjścia.

Mam nadzieję, że zdołam w dziesięciu prostych słowach zmieścić niekończący się potok wypowiedzi o dzisiejszych Chinach, że uda mi się w luźnej narracji, nieograniczonej czasem czy przestrzenią, połączyć obserwację, analizę i osobiste anegdoty, i że przetrę wyraźny szlak w zadziwiającej złożoności i olbrzymich kontrastach współczesnych Chin.

---

[1] Dante Alighieri, *Boska komedia*, pieśń V, przeł. A. Świdorska, Kęty 2001.

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

# 人民 Lud

Zawsze, kiedy piszę to słowo mam wrażenie, że coś jest nie tak, że źle je napisałem albo wygląda jakoś inaczej. Zamykam oczy, chwilę czekam, a gdy je otwieram, już wygląda lepiej. Ponownie zamykam, otwieram i w końcu mam pewność – tak, napisałem poprawnie. Tak właśnie jest z tym słowem – czasem wydaje się obce, czasem znów znajome.

Nie wiem, czy jakieś inne słowo we współczesnym języku chińskim dorównuje „ludowi” swoją niezręcznością i które byłoby tak wszechobecne i równocześnie tak niewidzialne. W dzisiejszych Chinach używają go chyba wyłącznie urzędnicy, którym wyskakuje z ust przy każdym otwarciu. Zwykli ludzie sięgają po nie niezwykle rzadko, może wręcz zapomnieli o jego istnieniu, a jego trwanie to zasługa urzędniczej śliny.

Dawniej słowo „lud” miało swoją wagę. Nasz kraj nazwano Chińską Republiką Ludową, przewodniczący Mao mówił: „w służbie ludowi”, najważniejszą gazetą był „Dziennik Ludowy”, a my, pojedynczy członkowie ludu, codziennie powtarzaliśmy: „po 1949 roku lud jest panem”.

Kiedy byłem dzieckiem słowo „lud” brzmiało równie niezwykle jak „Przewodniczący Mao”. To były pierwsze znaki, jakie poznałem, dopiero po nich nauczyłem się pisać swoje imię i imiona rodziców. Byłem po dziecięcemu pewny, że „lud to Przewodniczący Mao, Przewodniczący Mao to lud”.

W czasie rewolucji kulturalnej z dumą głosiłem to wszem wobec. Niektórzy spoglądali na mnie z powątpiewaniem, uważając, że wymaga to dalszej dyskusji, ale nikt otwarcie się nie sprzeciwiał. W tamtych czasach każdy stąpił po kruchym lodzie, wystarczyło jedno fałszywe słowo, żeby zostać uznanym za kontrrewolucjonistę i doprowadzić do zguby całą rodzinę. Gdy podzieliłem się z rodzicami moim odkryciem, zaniepokoiли się podobnie jak inni i patrząc na mnie uważnie, pokrętnie wytłumaczyli, że wprawdzie nie widzą nic niewłaściwego w tym hasle, ale lepiej żebym więcej tak nie mówił.

Jednak nie byłem w stanie powstrzymać się od dzielenia się ze wszystkimi największym odkryciem mego dzieciństwa i bez przerwy je powtarzałem. Pewnego dnia znalazłem dowód na słuszność hasła w popularnym powiedzeniu: „Przewodniczący Mao jest w sercu ludu”. Wykorzystałem je do przeprowadzenia rozumowania: „W sercu ludu jest Przewodniczący Mao, a co jest w sercu Przewodniczącego? My, cały lud!”, dlatego „lud to Przewodniczący Mao, Przewodniczący Mao to lud”.

Zobaczyłem, że wątpliwości u mieszkańców miasteczka powoli ustępowały. Część kiwała potakująco głową i stopniowo ludzie zaczęli je przejmować, najpierw moi towarzysze zabaw, potem dorośli.

Ale gdy wszyscy zaczęli mówić „lud to Przewodniczący Mao, Przewodniczący Mao to lud” poczułem się zaniepokojony, bo w czasie rewolucji nikt nie zważał na prawo własności i odkryłem, że tracę pozycję twórcy. Powtarzałem dookoła: „Ja pierwszy to powiedziałem! Ja!”, ale nikt się tym



nie przejmował, nawet koledzy mieli w nosie, że to ja jestem autorem powiedzenia. Nawet gdy przedstawiałem im niezbite dowody czy rozpaczliwie błagałem, kręcili głowami: „Nie, wszyscy tak mówią”.

Rozzłoszczony zacząłem wręcz żałować, że podzieliłem się z innymi moim odkryciem. Powiniennem ukryć je w sercu na wieki, zachować tylko dla siebie i rozkoszować się nim przez całe życie.

Gigantyczne zmiany, jakie w ostatnim czasie zachodzą w mojej ojczyźnie, szokują Zachód. W ciągu zaledwie trzydziestu lat Chiny, jak błyskawicznie zmieniający maski aktor opery sycuańskiej, przeobraziły się z kraju, w którym polityka góruje nad wszystkim, w kraj, gdzie rządzi pieniądź.

W kluczowych okresach historii zawsze pojawia się jakieś symboliczne wydarzenie. Takim właśnie była masakra na placu Tiananmen w 1989 roku. Pekinijscy studenci wylali się z kampusów i zebrali na placu, domagając się demokracji i sprzeciwiając się korupcji urzędników. Ponieważ rząd przyjął twardą linię i odrzucił postulat rozmów z demonstrantami, rozpoczęli oni głódówkę, a popierający ich mieszkańcy miasta wyszli na ulice. Wtedy pekińczyków niespecjalnie pociągało hasło „demokracja i wolność”, to żądania „walki z korupcją” sprawiło, że tak licznie przyłączyli się do demonstracji. Minęło jedenaście lat od rozpoczęcia reform Deng Xiaopinga i chociaż spowodowały one wzrost cen towarów, to gospodarka rozwijała się stabilnie, podnosił się poziom życia, a chłopcy stali się beneficjentami zmian. Nie nadeszły jeszcze lata 90. z falą bankructw i upadłości fabryk, a robotnicy jeszcze nie stali się ofiarami zmian. Konflikty nie były tak powszechne, jak na przykład teraz, kiedy w całym społeczeństwie tli się wściekłość. W tamtym czasie zaczęły się pojawiać złość i rozlegać głosy niezadowolenia dotyczące sposobu, w jaki synowie i córki wysokich urzędników bogacili się na państwowym majątku. Właśnie to sprawiło, że gniew ludzi skoncentrował się na protestach przeciwko wykorzystywaniu przywilejów przez urzędników. Patrząc z perspektywy obecnej, potężnej i wieloaspektowej, korupcji, ówczesne „przywileje urzędnicze” były po prostu niczym. Począwszy od 1990 roku korupcja wzrasta w równie szokującym tempie jak gospodarka.

Ten masowy ruch, który rozprzestrzenił się jak ogień po całych Chinach, szybko zgasł po strzałach oddanych o świcie 4 czerwca. Kiedy w październiku tego samego roku odwiedziłem Uniwersytet Pekiniński, panowała już na nim zupełnie inna atmosfera. Po zapadnięciu zmroku nad brzegiem jeziora majaczyły tylko cienie zakochanych par, a jedynymi dźwiękami, jakie dobiegały z akademików, były stukot kości mahjonga i głośne powtarzanie angielskich słówek. W ciągu zaledwie jednego lata wszystko się zmieniło, jak gdyby wiosną nic się nie stało. Tak drastyczny kontrast ma tylko jedno wytłumaczenie: wydarzenia na placu Tiananmen – to jednorazowy, skoncentrowany wybuch, który rozładował narastające od czasów rewolucji kulturalnej polityczne emocje Chińczyków. Następnie pasję polityczną zastąpiła pasja do pieniędzy i cały naród, jak jeden mąż, zabrał się za zarabianie, czego naturalną konsekwencją był okres ekonomicznej prosperity lat 90.

Nastąpił wysyp nowych słów, jak na przykład internauci, gracze giełdowi, inwestorzy, fani gwiazd, bezrobotni robotnicy, chłoporobotnicy, które kawałek po kawałku odcinały kolejne grupy ludzi od wyblakłego pojęcia „lud”. W czasie rewolucji kulturalnej definicja ludu była bardzo prosta – robotnicy, rolnicy, żołnierze, intelektualiści, handlowcy, przy czym handlowcy nie oznaczali biznesmenów, ale ludzi pracujących w handlu, sprzedawców. Moim zdaniem wydarzenia na placu Tiananmen w 1989 roku sprawiły, że pojęcie „lud” narodziło się na nowo, innymi słowy nastąpiła rekonstrukcja znaczenia, wyzuto go ze starego sensu i przypisano nowy.

W ciągu czterdziestu lat, od początku rewolucji kulturalnej aż do dziś, słowo „lud” stało się puste. Sięgając po modne wyrażenia, można stwierdzić, że słowo „lud” to tylko puste opakowanie, w którym wprowadza się na rynek nowe produkty.

Wiosną 1989 roku Pekin stał się anarchistycznym rajem. Milicja zniknęła z ulic, a studenci i mieszkańcy samorzutnie przejęli ich obowiązki. Wątpię, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczymy taki Pekin. Wspólny cel i jednakie pragnienia sprawiły, że w mieście pozbawionym policji panował idealny porządek. Wystarczyło wyjść na ulicę, aby poczuć przyjazną i serdeczną atmosferę. Można było jeździć metrem i autobusami bez biletów, wszyscy uśmiechali się do siebie nawzajem, zniknął dystans pomiędzy ludźmi. Nie uświadczyło się, wcześniej powszechnych, kłótni na ulicach; zazwyczaj małostkowi i chytry, uliczni sprzedawcy za darmo dawali demonstrantom jedzenie i wodę; emerycy wyciągali ze swoich chudych kont gotówkę i wspomagali głodujących na placu studentów; nawet złodzieje wydali oświadczenie w imieniu związku złodziei: „W ramach poparcia głodujących studentów zaprzestajemy wszelkich kradzieży...”. Pekin stał się miastem, w którym „wszyscy ludzie są braćmi”.

Jeśli mieszkasz w chińskim mieście, nie możesz pozbyć się wrażenia – ileż tu ludzi! Ale tylko po zobaczeniu tłumów, jakie zebrały się wtedy na Tiananmen, naprawdę dotrze do ciebie, że Chiny to najludniejszy kraj na świecie. Każdego dnia na placu falowało morze głów. Studenci, którzy przyjechali do Pekinu z innych prowincji, stawali na skraju placu czy na rogach ulic i przemawiali dzień za dniem, aż do ochrypnięcia, ale mimo że prawie niesłyszalni, uparcie mówili dalej. Ich publiczność, czy doświadczeni życiem starcy, czy matki z dziećmi na rękach, z szacunkiem przyjmowała wszystkich mówców, nawet widząc dziecinne twarze studentów i słysząc dziecinne przemowy, gorąco klaskała i potakiwała z aprobatą.

Czasem zdarzały się również komiczne sytuacje. Pewnego popołudnia siedziałem w ciemnej sali Chińskiej Akademii Nauk Społecznych przy Jianguomen, uczestnicząc w zebraniu Stowarzyszenia Intelktualistów Stolicy. Kiedy czekaliśmy na Yan Jiaqi, jednego z doradców Zhao Ziyanga, zauważyłem, że kilka osób obsztorcowywało redaktora pewnej gazety, w której właśnie opublikowano manifest stowarzyszenia. Byli niezadowoleni ze zbyt niskiej pozycji swoich nazwisk na liście i że wyprzedzają ich o wiele mniej znane osoby. Dlaczego nazwiska ludzi bez żadnej renomy pojawiły się tak wysoko? Biedny redaktor bronił się, że nie miał z tym nic wspólnego, w końcu nawet przeprosił, ale nie ułagodziło to jego rozmówców. Kłótnia skończyła się, kiedy pojawił się Yan Jiaqi.

Wtedy spotkałem go po raz pierwszy i ostatni. Zapamiętałem bardzo wyraźnie atmosferę tego popołudnia. Sławny naukowiec, który utrzymywał bliskie kontakty z Zhao Ziyangiem, wszedł przygnębiony do ciemnej sali. Ludzie uciszyli się, gdy przekazał złą wiadomość. Cichym głosem powiedział: „Zhao Ziyang jest w szpitalu”.

W ówczesnej sytuacji politycznej wiadomość, że ważny polityk ma problemy zdrowotne i znajduje się w szpitalu mogła oznaczać dwie rzeczy – albo odsunięto go od władzy, albo, że się ukrywa. Gdy tylko Yan Jiaqi powiedział, że Zhao jest w szpitalu, wszyscy zgromadzeni w sali intelektualiści natychmiast zrozumieli, co to oznacza. Część zaczęła się dyskretnie wymykać, wkrótce wszyscy rozeszli się i zniknęli jak liście zrzucane z drzew przez jesienny wiatr.

Po wydarzeniach na placu Tiananmen Zhao Ziyang przepadł bez śladu. Dopiero gdy zmarł w 2005 roku, agencja Xinhua opublikowała lakoniczną notkę dotyczącą tego ważnego polityka: „Towarzysz Zhao Ziyang cierpiał na przewlekłe choroby układu oddechowego i krwionośnego, był wielokrotnie hospitalizowany. W ostatnich dniach stan jego zdrowia się pogorszył i mimo podjętej akcji

ratowniczej zmarł 17 stycznia w Pekinie w wieku 85 lat”.

W Chinach, nawet gdy umrze chociażby emerytowany minister, oficjalny komunikat prasowy jest znacznie obszerniejszy. W notce nie wspomniano ani słowem o przebiegu kariery dawnego lidera partyjnego, nie napisano również, kiedy odbędzie się pogrzeb. Ale informacja o dacie ceremonii pożegnalnej dotarła do grup petentów mieszkających na Pekińskim Dworcu Południowym. Nie mam pojęcia, jakimi kanałami informacja przedostała się do tej najślabszej części chińskiego społeczeństwa, ale sami się zorganizowali i wyruszyli oddać ostatni hołd Zhao. Ponieważ nie mieli przepustek, policja rzecz jasna nie pozwoliła im wejść, ale rozwinęli transparenty i wspominali zmarłego, stojąc na zewnątrz.

Pozostający na dole drabiny społecznej petenci to produkt uboczny korupcji w Chinach. Doświadczeni bezprawiem i prześladowaniami, najpierw pokładają nadzieję w prawie, licząc, że sądy wymierzą sprawiedliwość, ale korupcja systemu sądowniczego sprawia, że tracą jakąkolwiek wiarę w prawo. Przyjeżdżają do Pekinu składać petycje, mając nadzieję, że wyższy rangą urzędnik rozpatrzy uczciwie ich sprawy. Takich ludzi nazywa się „uchodźcami sądowniczymi”.

W Chinach istnieje alternatywny wobec prawa system petycji, który stanowi ostatnią deskę ratunku dla ludzi doświadczających różnych krzywd, i pozwala ludziom się ofiarom korupcji i niesprawiedliwości, że istnieją jeszcze uczciwi urzędnicy. To, że jest większe zaufanie do ludzi niż do prawa, jest pozostałością po starym i mocno zakorzenionym przekonaniu o wyższości rządów dobrych ludzi nad rządami prawa. Petenci, rujnując siebie i swe rodziny, ściągają z całego kraju do stolicy i marzą, że pewnego dnia spotkają prawego urzędnika, który przyzna im rację. W 2004 roku oficjalna liczba zgłoszonych petycji przekroczyła 10 milionów. Petenci borykają się z niewyobrażalnymi przeszkodami, gdy głodni śpią pod gołym niebem, policja przegania ich jak żebraków, a niektórzy z wygodnie usadowionych intelektualistów nazywają ich umysłowo chorymi.

Właśnie taki bezbronny „lud” w styczniu 2005 roku pożegnał Zhao Ziyanga. W ich oczach był „najbardziej pokrzywdzonym człowiekiem w Chinach”, bardziej niż oni sami, bo jak bardzo by nie cierpieli, zawsze pozostawała szansa petycji, a Zhao „nie miał gdzie iść ze skargą”.

Pod koniec maja wróciłem do rodzinnego Zhejiangu i po załatwieniu spraw rodzinnych 3 czerwca po południu wsiadłem do pociągu do Pekinu. Położyłem się na leżance w przedziale drugiej klasy i słuchałem stukotu kół na szynach, dopiero kiedy w przedziale zapaliło się światło, zauważyłem, że nastał zmrok. Wtedy sądziłem, że ruch studencki przypomina maraton, będzie długo trwał i nie wiadomo kiedy się skończy. Ale gdy zbudziłem się rano i w dojeżdżającym do Pekinu pociągu włączono głośniki, z podnieconego głosu spikera wywnioskowałem, że wojsko wkroczyło na plac.

Po wystrzałach 4 czerwca studenci, miejscowi i przybysze z innych miast, zaczęli opuszczać Pekin. Wyraźnie pamiętam morze głów, gdy rano wysiadłem na Dworcu Pekińskim. Ludzie masowo uciekali z miasta, a ja w tym paskudnym momencie wróciłem do stolicy. Gdy wyszedłem objuczony plecakiem na plac przed dworcem i nieustannie zderzałem się z biegającymi we wszystkie strony ludźmi, zrozumiałem, że za chwilę będę, tak jak oni, uciekał z miasta.

Wyjechałem 7 czerwca, a ponieważ w Szanghaju zapalił się pociąg i czasowo zamknięto linię Pekin – Szanghaj, postanowiłem okrężną drogą dostać się do Wuhanu, a stamtąd łodzią dopłynąć do Zhejiangu. W kilka osób wynajęliśmy wóz i na pacy pojechaliśmy Aleją Chang’an do dworca. Pekin, zaledwie kilka dni wcześniej tętniący życiem, przedstawiał sobą żałosny widok opuszczonego miasta, na ulicach prawie nie było ludzi, jedynie ze spalonych samochodów unosił się czarny dym. Za estakadą Jianguomen stał czołg z lufą złowrogo wycelowaną w naszą bezbronną gromadkę. Na dworcu udało się nam dopchać do obłożonych kas i kupić bilety na miejsca stojące, bo miejscówki już wykupiono. Przed wejściem do hali dworcowej żołnierze przy bramkach dokładnie nas

przeszukali i przepuścili dopiero wtedy, gdy upewnili się, że nasze twarze nie znajdują się na listach poszukiwanych.

Nigdy w życiu nie podróżowałem równie zatłoczonym pociągiem. W wagonie wypełnionym uciekającymi z Pekinu studentami praktycznie nie było żadnych pustych przestrzeni pomiędzy ludźmi. Niestety, po godzinie jazdy poczułem, że muszę skorzystać z toalety. Z olbrzymim wysiłkiem przepychałem się przez tłum, ale w połowie drogi zrozumiałem, że to nie ma sensu. Słyszałem, jak ktoś wrzeszczy i wali w drzwi łazienki, ale wewnątrz także było pełno ludzi odkrzykujących, że nie są w stanie ich otworzyć. Musiałem wytrzymać kolejne trzy godziny, aż do momentu, gdy pociąg zatrzymał się w Shijiazhuangu. Od razu pobiegłem do łazienki, potem znalazłem automat telefoniczny i zadzwoniłem z prośbą o pomoc do znajomego redaktora literackiego czasopisma. Wysłuchał mnie i powiedział: „Teraz wszędzie jest chaos, nigdzie nie jedź. Zostań tutaj i napisz dla nas powieść”.

Spędziłem tam ponad miesiąc, ale pisanie szło mi jak po grudzie. Początkowo w telewizji codziennie pokazywali schwytanych studentów z listy poszukiwanych, ponadto na okrągło puszczały powtórki z częstotliwością, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem. Coś takiego powtórzyło się dopiero podczas olimpiady, kiedy pokazywano chińskich złotych medalistów. Daleko od domu, w obcym hotelowym pokoju, patrzyłem na zagubione twarze aresztowanych studentów, słuchałem ujadania spikerów i czułem, że ogarnia mnie przerażenie.

Nagle pewnego dnia obrazy w telewizji się zmieniły, zniknęły powtórki ze studentami, ucichły pełne triumfu komentarze. Chociaż poszukiwania i aresztowania trwały dalej, telewizja wróciła do znajomych ujęć: scen dobrobytu w całej naszej ojczyźnie. Spikerzy jednego dnia z wigorem demaskowali przestępstwa pojmanych studentów, drugiego z zachwytem wychwalali rozwój kraju. Począwszy od tamtego dnia chińskie media przestały wspominać o wydarzeniach na placu Tiananmen, podobnie jak o Zhao Ziyangu, nie natknąłem się potem na najmniejszą wzmiankę o nich, jakby ich wcale nie było, wszystko odgródzono i schowano. Pamięć o czerwcowych wydarzeniach zanika nawet wśród tych, którzy brali w nich udział, być może presja życia nie pozostawia czasu na wspomnienia. Minęło dwadzieścia lat i pojawiło się pewne niepokojące zjawisko – w pokoleniu młodych Chińczyków jedynie nieliczni wiedzą o wydarzeniach na placu, ale i ci niepewnie mówią: „Podobno wtedy demonstrowało dużo ludzi”.

Dwadzieścia lat minęło w mgnieniu oka, ale jestem pewien, że pamięć historyczna nie ginie tak szybko. Moim zdaniem, ludzie, którzy uczestniczyli w wydarzeniach rozgrywających się w 1989 roku, pewnego dnia powrócą do tego rozdziału swego życia i bez względu na to, jakie teraz mają poglądy, odkryją wspomnienia wyryte głęboko w pamięci.

Pamięć o tych wydarzeniach sprawiła, że rozumiałem, co oznacza słowo „lud”.

Czasem potrzebujemy szczęśliwego trafu, aby w pełni uświadomić sobie znaczenie jakiegoś wyrazu – chcę przez to powiedzieć, że w ciągu życia mamy do czynienia z wieloma słowami i gdy niektóre pojmujemy na pierwszy rzut oka, to sensu innych, mimo że ciągle się z nimi stykamy, tak naprawdę wcale nie rozumiemy. „Lud” należy do tej drugiej kategorii. To jedno z pierwszych słów, jakie nauczyłem się pisać i czytać. Towarzyszyło mi zawsze w wędrowce przez życie, bez przerwy miałem je przed oczami i nieustannie brzęczało mi w uszach, ale nigdy tak naprawdę nie przyswoiłem jego sensu. Dopiero gdy miałem trzydzieści lat przeżycia pewnej głębokiej nocy uświadomiły mi w końcu jego wielkość. Dopiero wtedy rzeczywiście, a nie pozornie, zetknąłem się z tym słowem i nie chodzi mi o zrozumienie sensu lingwistycznego, socjologicznego czy antropologicznego, ale o sens wyływający z realnych doświadczeń, a nie z teorii i definicji. Dlatego mogę powiedzieć, że „lud” nie jest pustym słowem, że spotkałem jego ucieleśnienie z krwi i kości

i poczułem jego mocno tętniące serce.

To nie gigantyczne demonstracje na placu przyniosły mi zrozumienie słowa „lud”, ale pewne drobne wydarzenie pewnej majowej nocy. W Pekinie obowiązywał wówczas stan wyjątkowy, ale studenci i mieszkańcy miasta samorzutnie zbierali się na skrzyżowaniach, wiaduktach i wyjściach z metra, żeby uniemożliwić armii wkroczenie na plac.

Mieszkałem wtedy w Instytucie Literatury im. Lu Xuna, w Shilipu, we wschodniej części Pekinu. Prawie codziennie w południe wsiadałem na stary rower, w którym dzwoniła każda część poza dzwonkiem, i jechałem na plac, gdzie siedziałem do późnej nocy albo nawet do świtu i dopiero wtedy wracałem do akademika. W maju w Pekinie jest gorąco w dzień, ale chłodno nocą. Pewnego razu wyruszyłem w drogę ubrany tylko w koszulę z krótkim rękawem i nocą przemarzłem do kości. Jechałem z placu do akademika, zimny wiatr wiał w twarz, a każda część mojego ciała trzęsła się tak samo jak części roweru. Lampy uliczne nie świeciły, jedynie księżyc wskazywał mi drogę. Im dłużej jechałem, tym bardziej byłem skostniały. Ale gdy dojechałem do Hujialou, nagle poczułem wypływający z mroku powiew ciepłego powietrza, który wzmagął się, im bardziej się zbliżałem. Potem usłyszałem dźwięki piosenki niesione w powietrzu i w końcu zobaczyłem światło w oddali. Następnie zadziwiająca scena rozpostarła się przed moimi oczami. Kiedy otoczyła mnie fala gorąca, zobaczyłem rozświetlony wiadukt Hujialou, a na nim i pod nim ponad dziesięć tysięcy ludzi, którzy pod nocnym niebem z przejęciem śpiewali hymn narodowy:

*Naszą krwią i naszym ciałem wzniesmy nowy wielki mur!*

*Chiński naród jest w największym niebezpieczeństwie.*

*Z ucisku wszystkich wychodzi nasz ostatni krzyk:*

*Powstańcie! Powstańcie! Powstańcie!*

*Jest nas wielu, ale nasze serce bije jedno!*<sup>[2]</sup>

Nie mieli broni, ale byli przekonani, że swoimi ciałami mogą zatrzymać żołnierzy i czołgi. Zebrani razem, promieniowali gorącem, jakby każdy z nich był rozpaloną pochodnią. To była znacząca chwila w moim życiu. Wcześniej byłem przekonany, że światło jest szybsze niż dźwięk, a głosy ludzi słyszy się wcześniej niż odczuwa ciepło ludzkiego ciała. W tamtą noc zrozumiałem, że się myliłem. Kiedy się zgromadzi „lud”, jego głos mknie szybciej niż światło, a ciepło ciała sięga dalej niż głos. W końcu zrozumiałem, co oznacza słowo „lud”.

---

<sup>[2]</sup> Tłumaczenie z Wikipedii.

# 领袖

## Przywódca

Przywódca, o którym mówię, ma pewną szczególną prerogatywę: stojąc na trybunie bramy Tiananmen podczas przeglądu uroczystej parady z okazji Święta Narodowego jako jedyny może machać do maszerujących tłumów, inni dygnitarze nie mają tego prawa i mogą tylko stać u jego boku i klaskać. Bez wątplenia jedynym takim przywódcą był Mao Zedong.

W czasie Wielkiej Proletariackiej Rewolucji Kulturalnej Mao Zedong stał na trybunie ubrany w żołnierski mundur i czy to z powodu upału, czy dając upust radości, często zdejmował czapkę i wymachiwał nią do maszerujących tłumów. Ale jego najbardziej ujmującą sceną machania jest ta, kiedy po przepłynięciu Jangcy, stoi na dziobie łodzi ubrany w szlafrok i pozdrawia tłumy zgromadzone po obu stronach rzeki.

Taki przywódca, który łączył w sobie właściwą politykom trzeźwą ocenę sytuacji i swobodę poety, improwizując, pokazywał swoją przenikliwość i umiejętność przewidywania przyszłości.

Razem z rewolucją kulturalną pojawiły się *dazibao* – gazetki wielkich znaków. Naklejane na ścianach od ulicy przypominały rozmiarem okna tradycyjnych chińskich budynków, mniejsze składały się z dwóch arkuszy naklejonych jeden nad drugim, obszerne tworzyły rząd pięciu czy sześciu płacht papieru. Stały się chyba największą w dziejach Chin wystawą kaligrafii. W miastach i wsiach, w alejach i zaułkach, wszędzie pojawiły się znaki, zazwyczaj koślawe i brzydkie, choć zdarzały się i piękne. Ludzie zatrzymywali się i z wielką przyjemnością oddawali się lekturze, bo gazetki, chociaż w większości używały rewolucyjnego języka, krytkowały opisanych z imienia i nazwiska zazwyczaj aroganckich i władczych urzędników, co wzbudzało duże emocje.

Pojawienie się gazetek wielkich znaków można nazwać początkiem walki słabych mas z potężnymi urzędnikami, co spotkało się z potępieniem ze strony partii i wysokich oficjeli w Pekinie. Wtedy Mao, zamiast sięgnąć po swój niekwestionowany autorytet i sprowadzić masy na właściwą drogę, sam sięgnął po ten sposób protestu właściwy zwykłym ludziom i napisał własną gazetkę wielkich znaków zatytułowaną: „Bombardujcie sztaby”. Według niego, wewnątrz partii znajdowały się dwa sztaby, jeden proletariacki, drugi kapitalistyczny. Możecie sobie wyobrazić, jaki szał ogarnął ludzi, zastanawiających się, co to może znaczyć, że sam wielki przywódca Przewodniczący Mao sięgnął po pędzel? To oznaczało, że Mao napotyka te same niedogodności co zwykli ludzie. Nic więc dziwnego, że rewolucja kulturalna natychmiast rozprzestrzeniła się po całym kraju jak szalejący ogień.

*Ciąg dalszy w wersji pełnej*

# 阅读 Czytanie

*Dostępne w wersji pełnej*

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

# 写作 **Pisanie**

*Dostępne w wersji pełnej*

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna



鲁迅  
**Lu Xun**

*Dostępne w wersji pełnej*

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

# 差距

## **Różnice**

*Dostępne w wersji pełnej*

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

革命  
**Rewolucja**

*Dostępne w wersji pełnej*

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

# 草根

## **Niziny społeczne**

*Dostępne w wersji pełnej*

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

# 山寨 Podróbki

*Dostępne w wersji pełnej*

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

# 忽悠

## **Bujanie**

*Dostępne w wersji pełnej*

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

# O wydawnictwie

*Dostępne w wersji pełnej*

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

Yu Hua



# CHINY

W DZIESIĘCIU  
SŁOWACH

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright edycja elektroniczna



DIALOG

